

Inga Iwasiów

„Przyszłość. To nie jest nowa przeszłość”

Tekst powstał w ramach przygotowań do Forum Przyszłości Kultury 2017 (18–19 listopada w Teatrze Powszechnym w Warszawie). FPK to przestrzeń dialogu i dyskusji na temat perspektyw rozwoju kultury we współczesnej Polsce. Program Forum to spotkania z udziałem ruchów obywatelskich, debaty, spektakle i pokazy oddolnych inicjatyw kulturalnych. Kontekstem dla prac Forum są scenariusze dotyczące przyszłości kultury, napisane przez wybitnych humanistów, a także cykl debat organizowanych w całej Polsce. Więcej informacji na stronie: <http://forumprzyszloscikultury.pl/>

Przyszłość nie tyle staje otworem, ile skłania do spekulacji, jakbyśmy szukali w niej śladów i pogłosów tego, co mamy nadzieję ocalić z katastrofy. Nie dlatego, że jedna Polska robi wielki krok wstecz, a druga dokonuje bezustannych korekt samej siebie; a przynajmniej nie wyłącznie dlatego. Zawracanie dokonuje się po niejasnych trajektoriach, bo tylko w umysłach populistycznych strategów można uporządkować świat, reaktywując scenariusze, dla których brak aktorów społecznych. Konsekwencje „powrotu do normalności”, „wstawania z kolan”, „przywrócenia wartości” trafiają do serc lub w puste pola – przyzwyczailiśmy się w wielu dziedzinach do „nienormalności”, czyli na przykład otwartych granic, pluralistycznej sztuki, sprywatyzowania światopoglądu. Zaczęliśmy się przyzwyczajać, ponieważ każdy z tych składników powszedniości był dostępny częściowo, pod wieloma warunkami. Wiele się nie/dokonało, stanęło w pół drogi, zaistniało potencjalnie. Mimo niedokonaności projektu dołączenia i zmiany, który nazwę prorównościowym (mając na myśli równoprawność różnorodności), jego falowe oddziaływanie ma dające otuchę konsekwencje. Chciałabym wynieść nie/całość z przeszłości i pielęgnować raczej drobiny narracji niż jakieś mocne, źródłowe szczepy, choć zarazem upieram się przy niezbędności elementarnego słownika. By odtworzyć jego założenia, cofam się do swojego feministycznego początku.

Pierwszy raz na żywo zobaczyłam feministki w Krakowie i tam uczestniczyłam w wystawach, performansach i spotkaniach z artystkami. W którym to było roku? Internet nie podsuwa mi żadnej daty i ten brak warto zapamiętać, oznacza bowiem przynależność do innej epoki, w której Fundacja Kobięca eFKA nie szukała eufemizmów, kompromisów, pojemnych szuflad dla osób żywiących obawy o społeczny odbiór postulatów równościowych. Słowo „feminizm” nie wydawało się aktywistkom niebezpieczne. Słowo „gender” nie było przeciwko nikomu używane. Lampki zrozumienia zapalały się to tu, to tam, a przyszłość napawała optymizmem. Trzeba jednak uczciwie podać wstępne proporcje: tamte dyskusje i tamta sztuka nie potrzebowały wielkiej sceny, jaką daje ulica, nie zacierały granic między artystkami a odbiorczyniami, lecz mieściły się w zamkniętych pomieszczeniach konferencyjnych, w małych galeriach, niszowych teatrach i zakładały jednokierunkowe przepływy: my opowiemy wam kim jesteście, dzięki czemu przyłączycie do nas.

Skala dziś jest inna, a sztuka nie ma szans na zachowanie elitarniej pozycji – jej narzędzia zostały przejęte, włączone w aktywny Internet, uliczne protesty, demonstracje. Nie, nie zamierzam wylewać łez i wieszczyć upadku znanego mi świata, opartego na klarownych podziałach (wytwórcy i odbiorcy narracji) i pojemnym, bezpiecznym dla mnie systemie wartości, ale nie mam też euforycznych odczuć w związku ze świeckimi komuniami przyjmowanymi od ponad roku na ulicach. Zmagam się z pytaniem: dlaczego idąca z ulicy moc i uczestniczenie we wzmacnianiu komunikacji środkami niegdyś zarezerwowanymi dla sztuki nie dają mi poczucia spełnienia we wspólnocie, a więc szczęścia? Spełnienie rozbija się o bruk doświadczanej na co dzień rewolucji konserwatywnej – w szkołach, instytucjach kultury, mediach. Zwycięski dyskurs konsolidacji i działania nie zmienia faktów. Nie chcę zamienić tej obserwacji w diagnozę, ulegam raczej

potrzebie prowadzenia kroniki zdarzeń i własnego nastroju, do czego zachęca Ann Cvetkovich w książce „Depression. Public Feelings” z 2012 roku, na którą trafiłam dzięki Iwonie Boruszkowskiej i jej szkicom „Defekty. Literackie autopografie”.

Ann Cvetkovich, profesorka University of Texas at Austin, prowadziła w 2001 roku badania nad emocjami. 11 września przyniósł niepowtarzalną w swej skali okazję do zaobserwowania wpływu polityki na emocje, zwłaszcza zaś na obniżenie nastroju mieszkańców Nowego Jorku i USA, aż do zapaści woli. Badająca emotywnie składniki kultury uczona, odczuwała blokadę intelektualną i emocjonalną, którą uczyniła częścią analitycznej narracji dziesięć lat później. Depresja może wynikać z rozpaczy politycznej, więc może nie jest „polską specjalnością”? Jakie książki powstaną za dziesięć lat na zreformowanych uniwersytetach, a jakie napiszą osoby funkcjonujące między teoriami a praktykami fikcji? Mam przecucie, że takie, na które z wielu powodów nikt nie czeka.

Tak, nie będę udawała optymizmu. Fale negatywnych bodźców chwilami mnie paraliżują. Przegrana polityczna, poczucie winy, ale i odczucie osuwania się gruntu, podziały, niepewność jutra, stymulowane przez sformatowane ideologicznie media, nadające z wnętrza skrajnie różnych narracji, skłaniają do używania wielkich kwantyfikatorów. Kto ma siłę czatować, tweetować, wychodzić na ulice i krzyzczeć, zakładać kolejne stowarzyszenia i pisać apele, nie ma depresji klinicznej, a jednak wokół i między nami szaleją wirusy nieprzewycięzalnego smutku, nawet paraliżu woli. Powiedzmy zresztą szczerze – jeśli część z nas dołuje, część wchodzi w fazę manii, bo jako całość mamy coś w rodzaju choroby dwubiegunowej. To tylko metafory, wiem, ryzykuję używanie ich mimo poczucia, że pasożytują semantycznie na cierpieniu konkretnych ludzi.

Wychodzę na demonstracje z ołowianymi nogami, nie robię sobie w tłumie selfie, spisuję na kartce tezy wystąpień, ponieważ boję się napadu amnezji. Cvetkovich proponuje, by potraktować taki stan jako rodzaj nowego aktywizmu społecznego, czyli odmowy udawania szczęścia i zadowolenia, czy też przynajmniej przystosowania. Być może przykre uczucia, które wytwarza w nas kontakt ze światem zewnętrznym, nie wymagają natychmiastowej zamiany w radość pokojowego protestu, wściekłość, konstruktywny program działania. Nie muszą też skłaniać do emigracji wewnętrznej. Co wobec tego robić? Pisać dokumenty swego stanu, które byłyby zarazem analizą sytuacji. Spisywać ten czas i tak go wykorzystywać. Nie dać się przygnębieniu, lecz i nie ulegać pokusie jego zamazania. Pisać, rozumieć, czerpać z tego satysfakcję. Przetrwać bez leków i nie szkodząc innym.

Nie jestem nowicjuską, obracałam już przecucia w metafory. Mniej więcej w połowie lat dziewięćdziesiątych napisałam swoją pierwszą futureskę – tak nazywam drobiazgi prognozujące przyszłość na podstawie przeszłości, hybrydy prozy i esaju. Później przyszły opowiadania, takie jak „U Cindy” i wreszcie powieść „Na krótko”. Ostatnio zbudowałam ciasny świat dla pary bohaterek, które próbują się dowiedzieć w jakich okolicznościach zginęły ich matki-lesbijki (nowela „Reportaż”, złożona w „Czasie Kultury”). Przed otwarciem bieżącego pliku uświadamiam sobie, że każda wycieczka w przyszłość wywołuje u mnie paroksyzm melancholii. Prawdopodobnie dlatego, że w tej przyszłości nie będzie ani mnie, ani mojej utopii założycielskiej, czyli feminizmu, nie potrafię wymyślać dobrze działających światów możliwych albo moja wyobraźnia jest zdominowana młodzieńczymi lekturami pisarzy s.f., z Lemem na czele, którego bohaterowie, nawet lecąc na Marsa, pozostawali pod wpływem Saturna. Dziś dystopie są w modzie, składa je (co stanowi tak czy owak jego specjalność) Mariusz Sieniewicz („Plankton”), ale też Manuela Gretkowska („Na linii świata”). Przyszłość to nowa przeszłość, bo choć powstają nadal popularne powieści historyczne, mainstream ostro rozpracowuje dekompozycję świata, jaki znamy, podążając za Michele Houellebecqiem. W tych literackich diagnozach idzie zwykle o pokazanie resztek po tym, co wydaje się nam dziś niezbędne i rozrostów tego, co traktowaliśmy jako niemal incydentalne, o przepracowanie lęków i znalezienie środków

zaradczych, póki można je zastosować. Pisanie o przeszłości i pisanie o przyszłości mają ten sam cel – dookreślenie zbiorowego „ja” teraźniejszego w epoce utraty wiary w spójne tożsamości i scalające ideologie.

Zaczęłam od feminizmu, ponieważ moim lękiem pierwszym jest zapomnienie emancypacyjnego elementarza, zanim zaczął działać. Tak widzi przyszłość Sieniewicz – kobiety-zakonnice mają w jego powieści ucięte języki, żeby w ten sposób przypieczętować śluby milczenia. Zakonników nie obowiązuje celibat, dzieci poczęte dzięki temu, wychowywane są przez nieme kobiety. Jeśli można sfabularyzować idiom „promyk nadziei”, to w powieści jest nim miłość ojca i córki. Powiewem wolności zaś byłaby jazda na rowerze. W „Uległości” Houellebecq nie tylko zwalnia kobiety z pracy, zaczynając od uniwersytetów - dodatkowo obsadza muzułmanki w roli biegłych w fachu prostytutek. Gretkowska wysła bohaterkę na emigrację, gdyż nad Wisłą (niezmiennie) nie da się żyć. Dodać do tego można powrót Margaret Atwood, której opublikowana w 1985 roku „Opowieść podręcznej”, za sprawą ekranizacji z 2017, traktowana jest jako narracja profetyczna. Kobiety są w niej potrzebne do oficjalnego rozrodu i tajnych uciech oraz odpowiadają za podtrzymanie systemu. Jedna z nich, żona Pułkownika, współtworzy prawo Republiki Gileadu, na mocy którego nie wolno jej uczestniczyć w życiu publicznym.

Wiele wskazuje na to, że nie mamy dziś - poza ogólnikową, obywatelską - mocnych narracji afirmatywnych, nowych utopii, zdolnych dodać nam odwagi. Ludzie zwracają się po nie do wspólnot religijnych, ezoterycznych, duchowych. Nie znam się na metafizyce, być może jestem pozbawiona jakiegoś genu czy enzymu, który pozwoliłby mi trawić ten rodzaj wrażliwości. Mogę jednak, używając rozumu, uznać, że trzeba je szanować u innych ludzi, niekoniecznie w ramach poprawności politycznej, czy jednostronnej umowy o kraju katolickim. Miałam jakiś czas temu pewną przygodę kolejową, którą zaraz opiszę. Zawiesiła mnie. Odebrała pewność, kazała myśleć „a co z tym”, „a gdyby tak”.

Na razie wrócę do początku swojej kariery wróżbiarskiej. Wychodzący w drugiej połowie lat 90. periodyk „Pełnym Głosem” zajmował się między innymi stuleciem kobiet na uniwersytetach. Na zaproszenie Beaty Kozak i Sławki Walczewskiej, po swoim pierwszym Kongresie Feministycznym, napisałam esej „Kobiety na uniwersytecie – ciąg dalszy”. Szukam dziś tego tekstu i w pierwszej chwili zwodzi mnie tytuł: skoro ciąg dalszy, musiał być jakiś fragment pierwszy, poprzedzający publikację 1997/nr 5. Ale nie, nie było, „ciąg dalszy” odnosił się do kobiecego continuum, które chciałam rozpoznać po dziesięciu latach własnej pracy akademickiej. Obecność kobiet postrzegałam jako kruchą, zdominowaną przez panujące na zewnątrz oraz w samej feudalnej instytucji patriarchalne reguły. Wkraczające już wówczas ostro na uczelnie zasady gospodarki liberalno-rynkowej, zmiksowane z konserwatywną duchotą, punktowo mogły sprzyjać badaniom genderowym, lecz zarazem uniemożliwiały poprawę statusu badaczek i studentek. Nie byłam w stanie oderwać się od realiów i zapowiedzieć nowej ery kobiet, choćby ponurej wizji siostrzanych hord grasujących na zgłiszczach znanej nam cywilizacji (co w tym samym numerze, czytając ekonomistów, socjologów i prozaiczki, uczyniły Maria Janion i Kazimiera Szczuka). Miałyśmy i utrzymujemy na wydziałach humanistycznych liczebną przewagę, która nie zamieniła się w program nowego uniwersytetu. Nieśmiało szkicowane alternatywy ideowe ulegną najpewniej zatarciu podczas akcji reformy, zapowiedzianej na najbliższe lata. Kobiety będą pracowały na uniwersytetach (tak, szkoły wyższe przetrwają, choć zostaną bezlitośnie i krótkowzrocznie posegregowane), rzadko mając okazję do tworzenia nauki uwzględniającej ich doświadczenie, co stanowi w moim przekonaniu jeden z ciekawszych paradoksów skalowania wydajności pracowników wiedzy.

Paradoks ten polega na tym, iż jesteśmy przekonani o konieczności maksymalizacji wysiłku dla osiągnięcia tak zwanej doskonałości. Pomijając oczywistość, że doskonałość nie istnieje, efektywność ma

być mierzona przy pomocy wielu wskaźników, pokazujących konkretny zysk w zakładzie produkcyjnym Uniwersytet. Jakie miejsce w takim planie zajmuje autorefleksja oraz opis specyficznego doświadczenia naukowca? Trudno ją wyrazić w punktach. Być może najciekawszym tematem, godnym rozpisania na szereg grantów, byłaby cała ta praca przejścia między figurą bezpłciowego uczonego ku studiom przypadków kobiet i mężczyzn, doktorantów i post-doców, profesorów wizytujących i profesorek emerytowanych? Cały ten proces zmian, tak ciekawie wykorzystany w literaturze, na przykład w powieści Jussi Valtonena „Nie wiedzą, co czynią”. Jednym z jej tematów jest pojawienie się etycznych pytań o eksperymenty na zwierzętach w pokoleniu dzieci tych uczonych, którzy uważają, że dotrzymują fundamentalnych zasad, a zarazem rozpoznają eksperymenty na ludziach, prowadzone w skali makro. Lub w innej, także punktującej relacje człowieka i zwierząt, Karen Joy Fowler „Nie posiadamy się ze szczęścia”, opisującej przerwany próbie urodzinnienia szympanscy, mającą konsekwencje i w życiu ludzkiej, i małpiej samicy. Dziewczynka zostaje w końcu przedszkolanką i próbuje wychowywać dzieci, wykorzystując swoje międzygatunkowe predyspozycje. Jej brat trafia do więzienia za „ekoterroryzm” i tam odmawia werbalnej komunikacji, żeby odegrać i uświadomić wymiarowi sprawiedliwości istotę ludzkiej przemocy wobec „niższych” istot.

Jaka relacja zachodzi pomiędzy lękiem o przyszłość i pytaniem o rolę kultury w utopii doskonałości, która zrodziła projekt ustawy „Prawo o Szkolnictwie Wyższym”, a rozmowami o umiejscowieniu kobiet na uniwersytetach w sto lat po uzyskaniu przez nie prawa studiowania? Miejsca nieoczywistych sprzężeń interesują mnie najbardziej. Odpowiem, przywołując jedną jeszcze powieść – „Świat w płomieniach” Siri Hustvedt. Jej bohaterka nie jest academiczką, lecz artystką wizualną. Żeby osiągnąć sukces, prowadzi wielogłosową akcję: opisuje samą siebie jako krytyczka, polemizuje z własnymi dziełami, które z kolei sygnują mężczyźni, dobierani według starannie przemyślanego klucza widzialności. Można by tę narrację literacką opatrzyć przypisami z działań i książek Mieke Bal, holenderskiej teoretyczki i artystki. Mogłabym dodać od siebie, że nie znam metody złamania ograniczeń, choć łatwo je opisać, więc uważam akt opisywania za kluczowy, a jego niewystarczalność za ważniejszą od samej demaskacji i dekonstrukcji mechanizmów.

Najbardziej boję się tego, że kultura skłaniać mnie będzie do bezustannych interwencji według przyjętej skali. Już piszemy antyutopie, sondujemy ciągi dalsze. W ferworze prac interwencyjnych łatwo zgubić miejsca nieoczywiste; to, czego jeszcze nie wiemy. Wspomniałam o pewnej przygodzie kolejowej, do której chcę teraz nawiązać, nie bez obaw.

Chłopak przysiadł się do mnie na małej stacji, tuż po odjeździe z głównej. Czytałam, wciśnięta w kąć i odizolowana szczelnie, aż zapytał, jak mam na imię i natychmiast podał własne. Uzasadnił tę wolę prezentacji: „Jechałem ostatnio przez Ukrainę i dalej. Do Kazachstanu. Cztery doby. Po drodze ludzie parzyli wspólnie herbatę, otwierali konserwy, opowiadali sobie życia, zdjęcia oglądali. Śpiewali nawet. A my tu w Polsce milczymy, milczymy, każdy swoje czyta, czyta. Klika, klika. Szkoda tak. Postanowiłem, że będę zagadywał przy każdej okazji. Nawiązywał kontakt. Dowiem się czegoś. Nie zmarnuję czasu”. Pomyślałam, że jest szalony i uśmiechając się, wróciłam do czytania. Nie dał za wygraną, więc zapytałam, czy jedzie na wakacje. Potwierdził i dodał: „Pierwszy raz od matury”. „Co pan studiuje?” – „Jeszcze nic. Jestem w postulatce” – odparł. I zaczął, niezachęcany, opowiadać jak trudno mieszkać daleko od domu i podporządkowywać się surowym zasadom. Nawyk empatii podsunął mi jako pierwsze skojarzenie jego wymowności i ciekawości obcych ludzi z tym pierwszym rokiem uczenia pokory, który miał za sobą. Byłam gotowa słuchać, a może nawet komentować, gdy do przedziału weszli mężczyzna koło pięćdziesiątki i nieco młodsza kobieta. Niedługo milczeli, gdy chłopak zadał w naszym kierunku pytanie: „Co oznacza słowo adjustacja?”. Objaśniłam termin (w końcu akurat na tym się znam, może tylko na tym), ożywiając pozostałych. „Nie spotkałam nigdy tego słowa” – wyznała kobieta. A mężczyzna, na którego kolanach leżał skoroszyt z folderami biura podróży (zobaczyłam opis pielgrzymki do Medjugorje), zaserwował nam dowcip

o pociągu, krzyżówce i zakonnicy. A może o księdzu, nie pamiętam kolejności, bo po życzliwym przyjęciu przez część publiczności, kawalarz brnął w następne „trzy siostry”, „trzech braciszków”. Chciałam to jakoś przerwać, ale co miałam powiedzieć? „Jest z nami kandydat na zakonnik”? Postulant, tak się w końcu zaprezentował. „Jestem postulantom”. W przedziale zapadła pięciosekundowa cisza, po której wszyscy wzięli głęboki oddech. Kobieta zaczęła z chłopakiem trwającą 150 kilometrów rozmowę o duchu, duchach, objawieniach, przesiadając się na jego stronę kanapy. Między okładkami odłożonej przez nią książki tkwiła wizytówka z fotografią i podpisem „coach, doradztwo u klienta”.

Ta rodzajowa scenka nie daje mi spokoju. Byliśmy zamknięci w ekspresie, nie znaleźliśmy innych zasad postępowania poza milczeniem lub rozmową. W chłopaku było coś, czego nie widziałam nigdy wcześniej, albo na co nie patrzyłam tak długo i bez możliwości zignorowania. Zaryzykuję nazwanie tego czegoś uduchowieniem. Wypytywanie przez nieznaną znośił z ciepłym uśmiechem. Odpowiadał ostrożnie na intymne pytania o czucie Boga obok siebie. Chciałam to przerwać jeszcze bardziej, niż zmierzające do świńskiej puenty dowcipy komiwojażera z cudami w ofercie. Zamiast tego udawałam, że czytam, wyglądam przez okno. Nie włączałam się, ale nie byłam obojętna. Chwilami nurzałam się wewnątrz w ironii. Dawałam sobie prawo ponazywania i oceniania „finezji” towarzyszy podróży. Cudzysłów. Otwierałam cudzysłów. Wychodząc, ucieszyliśmy się jeszcze z komfortu pierwszej klasy, który zapewniły nam wszystkim promocyjne bilety PKP. „Miło było panią poznać” – powiedział na koniec postulant.

No więc chciałabym go lepiej poznać, tak jak on chciał powtórzyć doświadczenie swojej poprzedniej podróży. Mowność sąsiadów, przywołana przez chłopaka, odpowiada stereotypom, lecz ma dziś ciekawe dopełnienie w faktycznej niesłyszalności Ukraińców żyjących w Polsce. Temat religii zaś, a zwłaszcza duchowości katolickiej, ma obecnie tylko dwa skrypty. Do żadnego nie pasuje moje spotkanie, tak jakby zaszło poza przestrzeń społecznego doświadczenia przydzielonego mi jako pisarce i profesorce literaturoznawstwa, obywatelce, feministce. Co prawda przez ćwierćwiecze powtarzałam, że chcę szukać białych plam, oddawać głos pozbawionym go wcześniej, uwidaczniać niewidoczne, proponować alternatywne narracje. Czy jednak w tej instrukcji mieści się uczynienie bohaterem kogoś, kto należy niewątpliwie do większości identyfikującej się z katolicyzmem, a zarazem z prostotą ujawnia swoje marzenie o prowadzeniu rozmowy w podróży i nie wątpi, iż podzielam przynajmniej jego wiarę? Tę w dialog i tę w Boga? Czy chciałby ujawnić mi swój niepokój, gdyby wiedział, że uprawiam gender i jestem zwolenniczką zmiany ustawy antyaborcyjnej? Czy ewentualne odrzucenie mnie przez niego ma jakiegokolwiek znaczenie dla wrażeń z przedziału? Z nas czworga – mężczyzny pracującego w sakro-turystyce, kobiety uczącej innych życia, urlopowanego postulanta, zasłaniającej się czytnikiem pisarki – ta ostatnia, czyli ja, jest w tej opowieści najbardziej zdezorientowana. Nie dlatego, że zna własne odczucia, a pozostałym tylko je nawykowo przypisuje. Przeciwnie: blokuje ją/mnie wzór na reakcje, które należy w takich sytuacjach odbezpieczyć. W państwie Radia Maryja, wieszanych w instytucjach publicznych krzyży i karaniami za ich zdjęcie nauczycielek, narracja o nitce duchowego porozumienia między ateistką a postulantom trąci ucieczką od rzeczywistości, naiwnością, brakiem orientacji.

Chciałabym, żebyśmy zdołali zachować zdolność do wysłuchiwania historii, które uznajemy za nie nasze lub wrogie. Performowanie wspólnot, zjawisk, polityk, z którym mamy do czynienia w marszach, głośnych spektaklach, sztuce wizualnej, w półprywatnych aktach i akcjach w sieci, stanowi na pewno główny nurt kultury jutra. Jest ważne w sytuacji, gdy państwowemu o(d)żywieniu podlega paradygmat godnościowo-patriotyczny. Wyobraźmy sobie jednak, że z fermentu nastawionych na narracje tożsamościowe lat dziewięćdziesiątych wypreparujemy postulat, nigdy niezamieniony w nawyk, pełnoprawnego traktowania punktowych i niekonkluzywnych wypowiedzi. Niech nam kultura mówi coś więcej niż to, czego od niej oczekujemy.

Taki program wydaje mi się wart refleksji także w kontekście aktywizmu społecznego, dziś nastawionego przede wszystkim na jednorazowe interwencje w konkretnych sprawach i jakże odległego od wspomnień z lat transformacji, w moim przypadku wiodących ku feminizmowi. Nie, nie proklamuję nowego „małego realizmu”, czy „zgniłego pragmatyzmu”. W końcu właśnie „mój” temat – gender – został poważnie podkopany, więc nie zamierzam przetrząsnąć przyrody lub tłumaczenie dobrych intencji przeciętnych ludzi głoszących na złe rozwiązania. Mam jednak poczucie, że sztuka może próbować przynajmniej czasem obywać się bez etykiet i mocnych środków. Zrobienie luki dla czegoś, co jeszcze nie ma nazwy, nie zostało przez nikogo przyjęte jako własne, nie umizguje się, ale i nie zajmuje bojowych pozycji, powinno się powieść.

Znam katalog ważnych tematów i odrobiłam część zadań, przyjętych jako własne. Mam też jednak ten rodzaj depresji, opisywany przez Ann Cvetkovich, który przychodzi z zewnątrz. Nie pozbędę się go na własną rękę, ani przy pomocy terapeutów. Nie oczekuję porady, ponieważ znam sposoby – na przykład gniew na chwilę wyprowadza mnie do innych, na prostą. Nie, nie ulegam pokusie narcyzmu i nie skarżę się. Pracuję intuicyjnie nad żalem po latach dziewięćdziesiątych, które dawały tak dużo nadziei. Tak, pamiętam że już wówczas było ciężko i na murach pisano „komuno wróć!”. Tamten ciężar dawał się dźwigać, gdyż widać było cel. Ciąg dalszy nie bardzo mi się podobał, ale parłam naprzód. Przyszłość, jestem tego niemal pewna, będzie w ten sposób powtórką z przeszłości, że zablokuje niektóre sposoby mówienia, wyrzucając je na margines, uznając za anachroniczne i niegodne reprezentowania upolitycznionej wrażliwości drugiej i trzeciej dekady tego wieku. No więc właśnie ja się tymi odpadkami chcę zajmować, pielęgnować je i pieścić. Nie jestem samotna w tej potrzebie. Pragnę kultury nieparadygmatycznej, chociaż wiem, że mamy mnóstwo niezłatwionych spraw.

W latach dziewięćdziesiątych chciałam (przy)łączyć się. Choć dziś wyszły z mody zapisy według wzoru dekonstrukcji, (roz)pisanie doświadczeń wydaje mi się nadal obiecujące.

Inga Iwasiów - literaturoznawczyni, krytyczka literacka, poetka i prozaiczka.

Studiowała polonistykę na Uniwersytecie Szczecińskim, tam się doktoryzowała. Habilitowała się na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. W 2007 uzyskała tytuł profesora. Jest autorką opowiadań, tomików poetyckich, a przede wszystkim rozlicznych rozpraw i esejów, w których zajmuje się literaturą polską XX i XXI wieku ze stanowiska krytyki feministycznej. W latach 1999–2012 była redaktorką naczelną dwumiesięcznika literackiego „Pogranicza”. Była pomysłodawczynią Nagrody Literackiej dla Autorki „Gryfia”, której celem jest m.in. promowanie twórczości kobiet, a także przewodniczącą jej kapituły. Zasiada w kapitule Poznańskiej Nagrody Literackiej im. Adama Mickiewicza. Publikowała m.in. na łamach: „Kresów”, „Nowych książek”, „Tekstów Drugich”, „FA-artu”, „Borussii” i „Pamiętnika Literackiego”. W 2010 została uhonorowana tytułem ambasadora Szczecina.